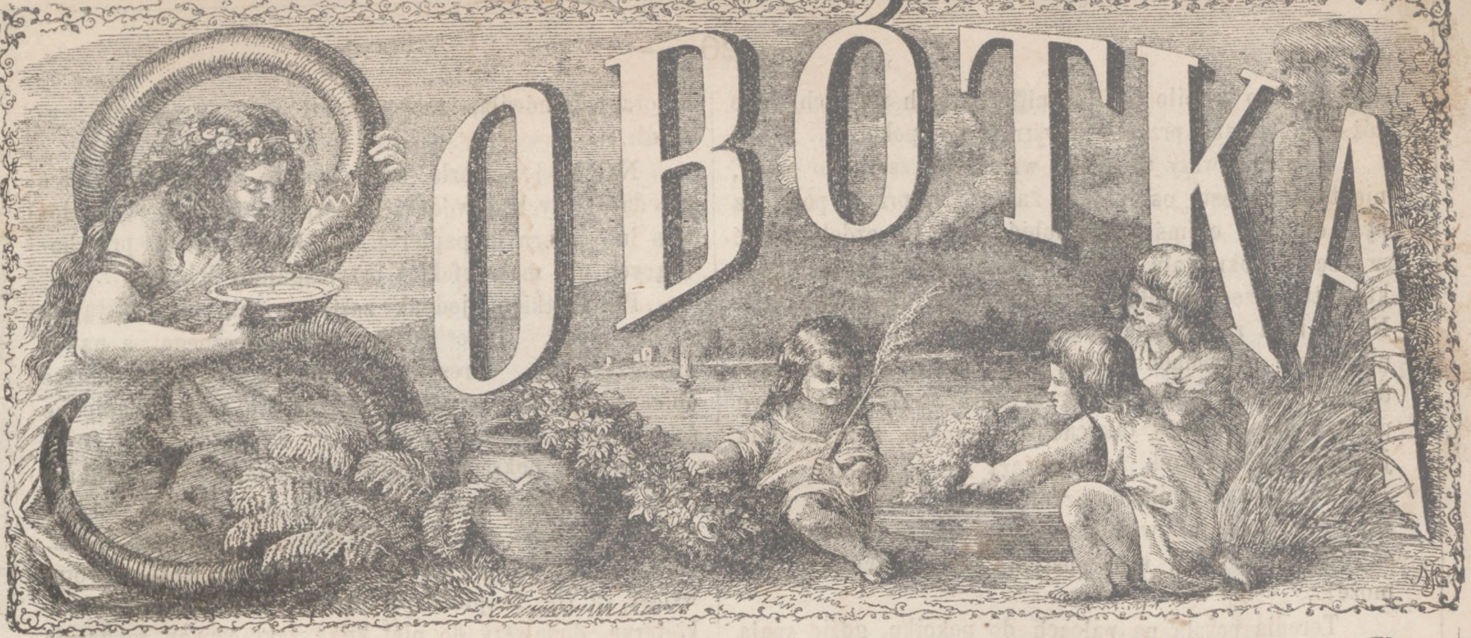




# TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

**№ 4.** **Poznań, dnia 22 Stycznia 1870.** **Rok II.**


# Milion na poddaszu.

## Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

**Jana Zacharjasiewicza.**

(Dalszy ciąg)

— Przecież nam jakoś śmieléj będzie, ozwała się z pod pieca Elźbieta, jeźli jaki mężczyzna tutaj zamieszka!

Terenia już tych słów staréj prządki nie słyszała. Biedne, osamotnione dziewczę puściło wodze swojéj wyobraźni dziewiętnastoletniéj, a młoda dusza wymknęła się w jakiś świat inny, zupełnie nowy! Przed jéj oczyma przechodzili długim szeregiem różni lokatorowie i dopraszali się o ten pokoik... Odmówiła jednemu, drugiemu, trzeciemu... czwarty był jakoś uparty, nie chciał odejść... zapłakała... a lokator zajął pokoik!...

— A ty Tereniu, mówiła daléj szambelanowa, napiszesz ładnie na kartce papieru: „Tu jest pokoik do najęcia.“ Tę kartkę przylepi potem Elźbieta z Annuśką na dole na murze, aby każdy wygodnie mógł czytać.

— A może dodać: „na poddaszu?“ zapytała Terenia w jakiémś roztargnieniu.

— Nie, tego dodatku nie potrzeba, odpowiedziała babunia. Jeżeli z góry przeczyta kto, że na poddaszu, to machnie ręką i pójdzie daléj. A tak będzie chodził po kamienicy, z piętra na piętro i zajdzie wreszcie do nas. Trzeba więc ten pokoik tak przystroić, aby zapomniał, że to na poddaszu i sobie go upodobał!... W życiu tak często się dzieje!

Czarne oczka Tereni rozświeciły się jakimś blaskiem nadzwyczajnym!

VII.

Zaraz po obiedzie, który Annuśka z jakiéjś garkuchni przyniosła, poszła szambelanowa do drugiego pokoju trochę przedrzemać się, jak to było jéj zwyczajem. Terenia wzięła się zaś natychmiast do poruczonéj roboty.

Wyniesiono na strych stare graty, podłogę zamieciono starannie. Ustawiono sofkę, łóżko, stolik i cztery krzesła. Reszta należała już do własnego przemysłu Tereni, aby ten pokoik przyjemnym i zapraszającym uczynić.

Gdy o tém pomyślała i słowa ostatnie babuni sobie przypomniała, zaczęło jéj serce jakoś strasznie się niepokoić. Raz chciało gwałtem przejść na prawą stronę, drugi raz chciało przebić lewą, aby się z téj ciasnéj klatki uwolnić. Biedne dziewczę nie mogło sobie dać rady z tém rozkapryszoném sercem. Cóż jemu dzisiaj tak nagle się stało? Jaki może być związek między niém a urządzeniem pokoika dla nieznajomego lokatora? Cóż to jest, że ono mówi dzisiaj tą swoją dziwną, niezrozumianą mową? Czyż ono odtąd zawsze będzie bić tak niespokojnie?...

Były to pytania, które sobie Terenia skrycie zadawała, ale na które odpowiedzieć nie mogła.

Stanęła na środku pokoiku i zamyśliła się. Spojrzała po pustych ścianach i zapytała siebie w duchu:

— Czémże to te biedne i puste ściany przyozdobić, aby lokator, raz je ujrzawszy, już z nich nie wyszedł jak tego chce babunia?... Gdyby tu były jakie makaty lub złote obicia, to co innego... ale to białe wapno kogoż przynęci i zatrzyma?... Któż zechce tutaj zamknąć sobie świat cały, aby przez to okienko tylko trzy dachy widział?...

Smutno zrobiło się Tereni przy tych myślach. Ale cóż robić, trzeba przecie przystroić ten pokoik!...

Powiedziawszy to sobie, wzięła się zaraz do pracy, nie tracąc czasu na próżne żale. Najprzód potrzeba było okienko czémś przyozdobić, aby ta ozdoba choć w części pokrywała widok dwóch brzydkich kominów, które tuż przed okienkiem z sąsiedniego dachu sterczały. Na to była zaraz rada pod ręką. Znalazła się w przyniesionych rupieciach babuni jakaś stara, wełniana materya. Zręczne paluszki Tereni udrapowały tę materyę po nad okienkiem w tak cudowny sposób, że wyglądała jak majowy obłoczek, spuszczający się na ziemię...

Teraz przystąpiła do ozdoby ścian. Jan III z marsowym wąsem już wisiał według rozkazu babuni; ale cóż on sam jeden tym pustym, białym ścianom pomoże?...

Terenia poszła na palcach do pokoiku, gdzie spała babunia i otworzyła dużą tekę, w któréj chowała swoje rysunki. Długo przewracała w téj tece. Wyjmowała i chowała na powrót. Ten brzydki, ów niestósowny, tamten za mało wykończony. Jakoś żaden z nich nie miał tyle ponęty, aby lokatora ułowić...

Smutno już, bardzo smutno było Tereni. Lokatorowie warszawscy to ludzie zepsuci, widzą tyle ładnych rzeczy... jakże to coś im okazać, co by ich zająć i w tym pokoiku zatrzymać mogło? Może który przyjdzie, oględnie się i ze śmiechem ironicznym odejdzie?... A może nawet który wprost powie, że to lub owo mu się nie podobało? Może by dobrze było, żeby to wszystko w ukryciu daléj leżało i żeby żadnego lokatora tém nie zapraszać?...

Kiedy tak bolesne myśli po pięknéj głowie Tereni się snuły, wypadły z teki dwa duże kartony. Terenia podniosła je i z pewném zadowolnieniem zaczęła im się przypatrywać. Były to kopie znakomitego włoskiego mistrza. Jeden karton wyobrażał poczciwego patryarchę, gdy poraz pierwszy przy studni Rebekę obaczył, a drugi przedstawiał domowe sceny, gdy tenże tak długie lata o nią się wysługiwał.

Kartony te były bardzo dobrze rysowane i kredą wycieniowane. Terenia uśmiechnęła się do swojéj pracy i bez żadnéj myśli ubocznéj postanowiła temi kartonami ubrać ściany pokoiku. Dołączyła jeszcze do nich kilka pejzarzyków, wynagradzając tym sposobem przyszłemu lokatorowi widok na dachy i okopcone kominy...

A kiedy to wszystko na ścianach w symetrycznych odstępach rozwieszone było i kiedy jeszcze nad łóżkiem zawisł mały z kości słoniowéj misternie wyrzeźbiony krycyfiks na czerném, hebanowém drzewie, zdawało się Tereni, że życzeniom babuni już stało się zadość, i że żaden lokator tego pokoiku tak prędko nie porzuci!

Trzeba było teraz przystąpić do pracy ostatecznéj, ale oraz nader ważnéj. Trzeba było bowiem napisać kartkę, pismem ładném i zdaleka czytelném: „Tu jest pokoik dla kawalera do najęcia!..."

Zdawało się Tereni, że kartka taka miała wielkie znaczenie. Lokator bowiem najpierwéj do niéj przystępował. Stósownie więc do tego, jak ta kartka do niego przemówiła, albo wchodził do kamienicy albo szedł daléj. Chodziło więc o to, aby ta kartka tak do lokatora przymówiła, żeby wszedł i już więcéj nie wyszedł...

Najprzód przyszła myśl Tereni, czyby téj kartce nie dać złotych obwódek, lub wprost napisać ją na złotym lub srebrnym papierze. Sprawiałoby to na przechodzących nie mały efekt i przyciągałoby ich oczy...

Po krótkiém jednak zastanowieniu się, odstąpiła od téj myśli. Było w tém coś śmiesznego, a nawet niedorzecznego. Zresztą jak można komu na kartce obiecywać złoto, a potem okazać mu białe, wapienne ściany?...

Terenia pokręciła główką na znak, że tak robić nie chce i wzięła pióro do ręki, aby na prostym, białym papierze napisać owe zapraszające na poddasze słowa. Mimo to, kreśląc te słowa, nie mogła paluszkom swoim wziąść za złe, że pierwszą literę wypisała z pewną kokieteryą, dodawszy do niéj kilka zakręconych misternie ogonków. Słowo „pokoik" było tak zręcznie wycieniowane, że najprzód wpadało w oko, a litera *K* w słowach d l a  k a w a l e r a wiła się z taką jakąś tęsknotą, że mimowolnie musiała czytającego zebrać ochota, obaczyć te piękne paluszki, które tak wiele umią pismem swojém powiedzieć...

Gdy już to wszystko zrobione było, wyszła szambelanowa ze swego pokoiku. Terenia okazała jéj, co zrobiła. Szambelanowa obejrzała starannie pokoik do najęcia, uśmiechnęła się na widok kartonów przedstawiających sceny siedmioletniéj służby zakochanego patryarchy i uznała wszystko za dobre. Ale gdy kartkę przeczytała, zapytała z chmurką na czole:

— A dla czegoż to waseńdzka dodała „dla kawalera?" O tém przecież nie było mowy!

Terenia zarumieniła się jak piwonia, spuściła czarne oczka i odpowiedziała:

— Ja sądziłam, że w takim małym pokoiku nikt inny zamieszkać nie może!

Szambelanowa pokręciła trochę głową, przeczytała raz drugi i trzeci i ozwała się w końcu!

— Tego dodatku wcale na kartce nie było potrzeba. Rozumie się, że w jednym pokoiku człowiek z rodziną mieszkać nie może. Ale kiedy już się napisało, to szkoda papieru, aby pisać drugi raz. Niechże i tak będzie!

Teraz musiała Elźbieta z żytnéj mąki zrobić klajster, a korzystając z wieczornego zmroku za pomocą Annuśki przylepić tę kartkę na dole przy bramie w takiém miejscu, aby każdemu przechodzącemu w oczy wpadała.

A gdy po długich kłopotach wreszcie kartka na murze przylepiona była, wróciły wszystkie kobiety na dawne swoje miejsca, na jakich zastali je mniemani złodzieje. Szambelanowa postawiła lampkę na stole, i zaczęła czytać w książce, Terenia wzięła ten sam papier i tę samą kredkę i zaczęła coś rysować, a panna Elźbieta siadła pod piecem z kądzielą.

Mimo tych pozornych zajęć, każda z nich myślała o dniu jutrzejszym, w którym właściwie dopiero czytelną będzie przylepiona na murze kartka, i o lokatorze, jakiego ona na poddasze sprowadzi.

VIII.

Wieczorne marzenia o przyszłym lokatorze pokoiku najbardziéj ze wszystkich niepokoiły Terenię. Inaczéj jakoś wyobrażała go sobie od sędziwéj panny Elźbiety, która widziała w nim łysego emeryta z podagrą w nogach, z którym czasami o pogodzie i słocie mowić będzie. Lokator Tereni był wcale innym człowiekiem... był najprzód młodym i miał czarne włosy...

Więcéj o nim powiedzieć nie mogła, lecz co chwila przybierał inną twarz. Nie mogąc sobie z tą ustawiczną przemianą dać rady, odłożyła całą sprawę lokatorską do dnia jutrzejszego, który najlepiéj ją rozsądzi.

Z tém postanowieniem, odśpiewawszy z babunią pieśń nabożną, położyła się do łóżeczka i przymknęła czarne oczka. Ale oczka te nie chciały się dzisiaj w żaden sposób skleić. Dawniéj zamykały się tak łatwo, dzisiaj stawało ustawicznie coś na przeszkodzie. Raz rozparł się w nich jakiś młody francuski żołnierz, którego ujrzała w przechodzie Napoleona do Moskwy i wysoką czapką swoją, nie dał się rzęsom zamknąć. Drugi raz usiłował w te czarne oczka zaględnąć jakiś wcale nieznajomy człowiek, którego nigdy w życiu nie widziała i śmiałą ręką otwierał zawsze znużone powieki... To znowu coś jak błędny ognik, strzelało po tych oczkach a gdy przed siebie spojrzała, obaczyła jakiegoś małego psotnika ze skrzydełkami motylemi u ramion, a łukiem naprężonym w drobnych rękach...

A kiedy wreszcie te jedwabne rzęsy jakoś się razem splątały i powieki na oczach przymknęły, stanęły przed nią znowu jakieś obrazy niepokojące, które ją niemiłosiernie trapiły! A nie mogła się ich pozbyć w żaden sposób!...

Śniło się jéj, że koło téj kartki jéj ręką napisanéj zeszli się różni ludzie na ulicy i zaczęli głośno krytykować jéj pismo. Jednym nie podobał się ogónek tak misternie nad *T* nakręcony, inni dziwili się, dla czego p o k o i k jest więcéj od innych słów wycieniowany, a byli znowu i tacy, którzy z twarzą wybladłą a cynicznym uśmiechem stroili różne żarty nad lękliwie nakreślonym *K* w słowie „dla kawalera“ i odgadywali, czy to pisała stara panna czy młoda, piękna czy brzydka, bogata czy uboga?... Śmiechy i dowcipy towarzyszyły tym rozmowom i wszyscy patrzeli z ironią w okienko pokoiku...

Potem śniło się jéj, że rożni lokatorowie przychodzili oglądać ten pokoik. Jeden powiedział, że ubogi, drugi ganił jéj kartony i śmiał się z cierpliwości nieoszacowanego patryarchy, trzeci krytykował draperye firanek...

Terenia chciała płakać, chciała w rozpaczy pójść do klasztoru, uciekąć od świata i ludzi... gdy ją nagle babunia wzięła za rękę. Terenia otworzyła oczy, serce jéj biło niespokojnie — w pokoju był już dzień biały.

— Miałaś rybeńko sen niespokojny, rzekła babunia, przykładając rękę do jéj czoła, dla tego obudziłam cię, płakałaś rzewnie, jakby cię kto zabijał!... Cóż to ci się śniło tak strasznego? Czy wczorajsi złodzieje?

Terenia przeżegnała się i wstała z łóżeczka. Ubrawszy się na prędce pobiegła do okna, aby się przekonać, czy to może być prawdą, co się jéj śniło o kartce. Zresztą ta kartka miała dzisiaj sprowadzić lokatora... jaki to będzie ten lokator?

Z bijącém sercem otworzyła okienko i wychyliła jasną główką na ulicę, po któréj roiły się już tłumy...

(Dal. c. n.)

# Dobrzyński w Poznaniu.

(Wspomnienia przez M. A. S. — Ciąg dalszy.)

Dobrzyński był wtedy w sile męskiego wieku; liczył bowiem lat 38. Wzrostu więcéj niż średniego, tuszy miernéj, przystojny i dorodny, oka żywego, w którém płonął ogień żywego natchnienia i namiętnego zamiłowania swéj sztuki ukochanéj, lubo skłaniał się mianowicie w samotności do melancholii a nawet do mizantropii (przeszedł był bowiem twardą szkołę życia w całém znaczeniu tego wyrazu) umiał przecież mianowicie w dobraném gronie przyjaciół i pokrewnych duchem znajomych tak się rozruszać, tak się stać miłym i rozkosznym, tak zabawić i zająć towarzystwo, iż każdy lgnął do niego duszą i sercem. Ś. p. Antoni Popliński, profesor przy gimnazyum Maryi Magd., dał był wkrótce po przybyciu jego w domu swym wieczorek i zaprosił na niego dwóch tylko znajomych. Obaj zapewne ten wieczór do najmilszych wspomnień życia swego policzą. Zmarły w roku 1849 A. Wojkowski, chcąc uczcić przybycie znamienitego artysty na obszerniejszą skalę, wkrótce potém zgromadził w swym domu liczne towarzystwo znawców i artystów muzycznych obu narodowości. Był między nimi i dyrektor orkiestry katedralnéj, uczony Klingohr. Serdeczna i uprzejma gościnność gospodarza była każdemu ze zgromadzonych podnietą dla przyczynienia się p r o  v i r i l i  p a r t e do wspólnéj zabawy. Po odegraniu na cztery ręce uwertury do „Monbara“ opery Dobrzyńskiego przez autora niniejszego artykułu i drugiego gościa, wykonano rozmaite jego kwartety, kwintety i śpiewki w tonie ludowym, które on umiał tak pięknie układać i z taką werwą i humorem odśpiewać. Gdy nastrój powszechny umysłów i serc doszedł do tego stopnia, iż naturalnym rzeczy wynikiem z poważniejszych i uroczystszych do lżejszych należało przejść zajęć i rozrywek, siadł Dobrzyński do fortepianu i z dziwnym humorem i trudną do opisania komicznością zaczął śpiewać „M a j u f e s“ żydowski. Po czém zastósowawszy postawę, wyraz twarzy, całą mimikę nawet do roli, zaczął naśladować organistę zaściankowego samouka, rozdzierając uszy dysonancyami rażącemi. Pamiętny nam jest mianowicie „polonez“ jego w tym guście ułożony. Najpoważniejsi mężowie w zgromadzeniu, hypokondrycy, skwaszeni, ludzie, których nigdy nie widziano wesołymi, trzymali się za boki i kładli się od śmiechu. Dobrzyński był niezrównanym w dowcipie i humorze, wszyscy go pokochali, ściskali i całowali, on był duszą towarzystwa, on osią, około którego wszystko się obracało, on celem powszechnych hołdów, oklasków i uwielbień. Miał wprawdzie i słuszny powód nasz artysta do weselnego umysłu nastroju, a powód ten był następujący.

Nie będąc zamożnym, nie mając stałych dochodów, lecz utrzymując się tylko z lekcyi muzycznych (bo kompozycye nie wiele mu przynosiły) zostawił w domu żonę i liczną rodzinę, któréj utrzymanie krwawo mu przychodziło, a tu podróże i przejażdżki artystyczne w kraju i za granicą, przedsiębrane dla wykonania i rozpowszechnienia swych dzieł, dużo kosztowały. Ztąd kłopoty finansowe i troski o familią i jéj utrzymanie szkodliwie wpływały na jego humor. Sam przy tem podlegając

td y owedy napadom choroby żółciowéj, był czasem w usposobieniu, nad którém, aczkolwiek nikomu go dotkliwie uczuć nie dawał, sam często ubolewał. Zjednawszy sobie przez krótki czas pobytu w naszéj stolicy wielu przyjaciół, słuchał ich porady, jak wyjść z przykrego położenia. Poddawali niektórzy tę myśl, ażeby jakąkolwiek z kompozycyi swych dedykował któremu z naszych magnatów. Pan Feliks rady usłuchał, ale cóż? pan hr. X. nie odpisał, hr. Y. w domu nie było, hr. Z. bawił u wód. Cóż tu czynić? Dobra rada trudna. W tém ktoś poszepnął naszemu artyście, że Roger hr. Raczyński, aczkolwiek sam nie muzykalny, idąc za przykładem zacnego ojca, nigdy nie odmawiał opieki artystom i talentom narodowym, lecz wszędzie takowym w pomoc przychodził. Idąc za poradą przyjaciela, poświęcił mu Dobrzyński 6 pieśni sielskich, które wyszły tu w Poznaniu r. 1845 w komisie u Żupańskiego. Owóż w tydzień po przesłaniu egzemplarza tych śpiewów, nadchodzi list z Rogalina pod adresem Dobrzyńskiego, a w nim 1000 tal. wraz z uprzejmém pismem do autora kompozycyi, zachęcajacém go do nieustawania w swym chlubnym zawodzie. Zaiste hojność, jaką nie wiem czy który z panujących i głów ukoronowanych poszczycić się może.

Wszystkie usiłowania Dobrzyńskiego, by utworzyć operę polską i stać się użytecznym scenie narodowéj, zasilając ją dziełami własnego utworu, były nadaremnemi; rozbijały one się o tysiąc przeszkód i trudności, bądź z miejscowych stósunków i okoliczności wynikających — jak n p. braku wykształconych orkiestr i śpiewaków — bądź z umysłu mu stawianych. Jego opery: Monbar czyli Flibustyerowie (z tekstem Ludwika Paprockiego) dyrekcya teatrów warszawskich (jenerał Abramowicz) przyjąć nawet nie chciała. Nie życząc sobie przeto, ażeby wiecznie w tece spoczywała, kazał tekst na niemieckie przetłómaczyć i po kilkunastu latach cierpkich złudzeń, omylonych nadziei, zawiedzionych oczekiwań, on, artysta pełen najświetniejszych zdolności, tchnący zapałem i zamiłowaniem swéj sztuki, Polak nie poznany od Polaków, udał się w r. 1845 za granicę, aby tam może znaleść, zaczém napróżno tęsknił między swoimi t. j. udział współczucie i zachętę.

Huczne i rzęsiste oklaski, jakie się w obu poznańskich koncertach, a mianowicie w drugim, danym na dochód ubogich, którzy przez wylew Warty ucierpieli, słyszeć dały, dostatecznym tego były dowodem, jak nasza publiczność umie pojąć i ocenić, co piękne, wzniosłe i rodzime. Mianowicie piosenka „Wesoły ja robeczek", wyjątki z Monbara, symfonia, prawdziwy entuzyazm między słuchaczami wywołały; a pomnijmy, że tak w teatrze, jak w sali Bazaru połowa publiczności była narodowości niemieckiéj.

Świadczą prócz tego o uznaniu jego geniuszu liczne recenzye umieszczane podówczas w tutejszych gazetach, tém chlubniejsze dla zmarłego dziś naszego rodaka, że pochodziły po większéj części od Niemców, których tak niesłusznie za nienawistnych i opieszałych w uznaniu zagranicznych talentów poczytujemy. Świadczy o niém przysłany mu w upominku od członków owczesnéj orkiestry poznańskiéj, składającéj się z samych Niemców, srebrny puchar, jako w zadatek czci, miłości i uwielbienia, jakiém wszyscy biorący udział w wykonaniu wspaniałych, pięknych i wielkich utworów jego ku swemu dyrektorowi byli przejęci. I w istocie! Trudno wyobrazić rutynę, spokojność i pewność, tudzież łagodność połączoną z energią i przytomność umysłu większą, jak u Dobrzyńskiego stojącego przy pulpicie dyrektorskim. Brzmienie tego adresu jest następujące:

„Przejęci pięknością Twych dzieł muzycznych, Panie, które w naszém mieście słyszeliśmy, nie możemy przemilczeć głębokiego podziwu, który w nas wzrastał w miarę, im częściéj kompozycye Pańskie pod Twym umiejętnym przewodem wykonywaliśmy. Jeżeliśmy się w chęciach i całém działaniu naszém umieli do pięknego zapału, z jakim Pan nam przodowałeś, zastósować, to otwartość i uprzejmość Pana zachęca nas do niniejszego kroku i z radością widzielibyśmy ze strony Pana w przyjęciu załączonego tutaj małego upominku dowód Jego życzliwości, nie mogąc przy tém zataić prośby, ażebyś Pan i zdala członków tutejszéj orkiestry w życzliwéj zachować raczył pamięci."

Puhar ten piękny, wewnątrz grubo złocony, nosi napis wyryty w języku niemieckim:

Ign. Feliksowi Dobrzyńskiemu ofiarują w dowód szacunku Artyści muzyczni miasta Poznania.

(Następują podpisy.)

Dobrzyński w chwili ofiarowania upominku był mocno wzruszony i ze łzą w oku zapewniał deputacyą dawców, że tę chwilę zawsze do najpiękniejszych wspomnień swego życia policzy.

(Dok. n.)

## Z podróży po Tatrach.

(Z ryciną.)

Ze wschodem słońca ruszyliśmy drogą, która prowadzi od Nowegotargu do Morskiego oka. Poranek był prześliczny.

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskiém a polskiém powietrzem, kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannéj, ten nigdy nie pojmie téj tajemniczéj władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, czucia, na całą istotę człowieka. Zdaje się, że przyroda rozbudzona w wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzieindziéj, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechaliśmy w ciągłém zachwyceniu. Las swierkowy ciągle prawie towarzyszyły naszéj drodze. Niekiedy uchylał się a wówczas powitała nas z boku jakaś rozkoszna dolina, jakaś góra naga od stóp aż do szczytu. Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitéj postawy i wysokości, z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie, obiecywał przewodniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada.

Spieszyliśmy się co nam sił starczyło, bo chcieliśmy się jeszcze dostać do Pięciostawów.

Po długiéj i dość uciążliwéj podróży znaleźliśmy się naraz śród pustyni skał w całém znaczeniu tego wyrazu. Wyliczyć można było wszystkie przedmioty, które zapełniały ten przestwór mil kilku: pięć jezior, gdzie niegdzie nad wodą zarośla kozodrzewiu, kępa darniny, plamka mchu, kilka żółtych kwiatów jaskru, pliszka niby zabłąkana, kilka orłów tatrzańskich po nad wodami, zresztą pan téj całéj dziedziny — kamień.

Łańcuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez kosmyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kocieł; dno jego we trzy piętra, najniższe zalane okrągłém jeziorem, z którego wypływa potok tworzący Siklawą wodę. Brzegi jeziora uzielenione gdzie niegdzie kozodrzewiem i trawą, po lewéj ręce dwa mniejsze jeziórka, jedno na podniesieniu już znaczniejszém a czwarte jeszcze wyższe, wszystkie zaś związane wązkiemi strumykami z środkowém najobszerniejszém.

Echo grobowe panowało w tém kamiennem ustro-

niu, echo Siklawéj wody krążące nieprzerwanym szumem po szczytach zamykających dolinę, oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pięciostawów ruszyliśmy ku Morskiemu oku. Najbliższe przejście mieliśmy przez górę Mnich zwaną, u jéj to podnóża na stronie przeciwnéj leży Morskie oko. Ale podobna przeprawa nie była wcale łatwa, samo wejrzenie na owe skały nagie, prostopadłe, już niejednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojéj głowy i zręczności nóg, postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt.

Z początku doliną Pięciostawów szło nam jako tako, nie było tam innych zawad, jak ogromne kotliny zawalone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie



Pięciostawy w Tatrach.

jeziorami, jak dziś Pięciostawy, ale obecnie są zupełnie bezwodne. Po długiéj przeprawie dościgliśmy wreście grzbietu Świstowéj góry. Z téj wysokości, w ogromnéj pod nami głębi dojrzeliśmy Morskie oko.

Miejsce to dla swéj przystępności jest jedném z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia a niejeden opisuje. Morskie oko nie zrobiło na mnie wrażenia, jakiego się spodziewałem, niezawodnie dla tego, żem już widział Pięciostawy. Mimo to zasługuje na to, co o niém mówią. Ma swoją piękność niepospolitą a sobie tylko właściwą. Jestto wielka masa wody, zamknięta w jeziorze okrągłém, brzegów tak rozległych, że

człowieka stojącego na brzegu przeciwnym dojrzeć nie można.

Głębia Morskiego oka jest niezmierna. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza pochodzi. Bądź co bądź głębokość jeziora w pewnéj odległości od brzegów dotąd nie jest dociekczoną. Na środku Morskiego oka jest wir wielki. Ryby dają się tu widzieć a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał nam człowiek wiarogodny że ukazała się raz niedaleko brzegu ryba z głową nad wodę podniesioną, podobną do kociéj. Górale także powiadają że przed laty kilkunastu jakaś ryba nieznana im porywała pijące owce a szczególniéj czarne; pasterze zasadzali się z trzelbą, dali do niéj ognia, skoro się pokazała i odtąd już jéj nie widzieli. (Dal. c. n.).

# Perły i Perełki.

W zeszłym roku jeden z korespondentów do Tygodnika Illustrowanego oburzał się niezmiernie i powstawał na zbytki pań poznańskich. Żałujemy mocno, że nie był łaskaw tychże bliżéj wykazać, albowiem my ich się dopatrzeć nie możemy i na pochwałę Wielkopolanek powiemy, że się ubierają skromnie i gustownie. Prawda, że niejednemu kok zawadzi, na balach zaś, jak mówią, powłoki u sukien mogłyby być cokolwiek krótsze my przynajmniéj zaręczyć możemy, że dotąd się jeszcze nie blanżują ani różują, pomimo że swego czasu bawiący u nas Litwin w niejedném towarzystwie sprawę pudru gorąco popierał i zapewniał nas, że Warszawianki bez poprzedniego upudrowania się budoarzyku swego nie opuszczają. Gdybyśmy zaś stroje dzisiejsze z dawniejszemi porównać chcieli, przyznaćby nam było trzeba, że prababki nasze daleko więcéj miały kosztownych ubiorów, a klejnoty, pomiędzy któremi brylanty i perły pierwsze zajmowały miejsce, w każdym większym szlacheckim zaścianku znaleść mógłeś. Niejeden z nas zapyta się może, gdzież są te kosztowności, te sznury pereł, które babki nasze zdobiły, chociaż odpowiedź zdaje się być łatwą, albowiem ile razy ojczyzna głębszy jak wydała i krew z ran jéj większemi strumieniami lać się zaczęła, tylekroć matki Polki spieszyły nie tylko brylanty i perły, ale nawet ślubne obrączki, składać na jéj ołtarzu.

Z Litwy, téj najnieszczęśliwszéj siostrzycy naszéj, przeniosły się wszystkie drogocenne pamiątki powoli do komnat moskiewskich, a od pierwszych dostojników państwa rosyjskiego począwszy aż do najpodlejszych sług policyjnych nie ma pewnie jednego, któryby z miłości ku nam nie był sobie jakiegoś przywłaszczył upominku. W Poznańskiém zaś, gdzie nigdy nie brakło ludzi z poświęceniem zużyli jedni dla dobra ogółu po przodkach odziedziczone kosztowności, inni, aby dogodzić chwilowéj żądzy błyszczenia, zmarnowali je i oddali razem z ziemią ojczystą synom Izraela.

Ze wszystkich ozdób stroju kobiecego perły podnoszą najwięcéj powaby piękności; nie dziw więc, że od najdawniejszych czasów były one celem westchnień i życzeń płci pięknéj. W Rzymie starożytnym pojawiły się one dopiero wtenczas w większéj ilości, kiedy zbytek nad dawną prostotą i skromnością zaczął brać górę, kiedy zwyczaje podbitych, zniewieściałych ludów na mieszkańców jego oddziaływać zaczęły. W czasie wojen Jugurtyńskich nie tylko kobiety, ale nawet mężczyzni o strój z pereł się ubiegali.

Pompejusz przywiózł w tryumfie trzydzieści koron perlami wysadzanych, a popiersie jego taką ich ilością było okryte, że się zdawało, iż z pereł było wyrobione. Odtąd bogatsi zdobili ubiory swoje perłami rzadkiéj wielkości, a wkrótce powstało przysłowie, że piękna perła liktora zastępuje. Rozrzutność i zbytek, owe pierwsze zwiastunki upadku narodów, wzrastały z dniem każdym, a po zdobyciu Aleksandryi użycie pereł, jak Plinius zapewnia, jeszcze się stało powszechniejszém. Za cesarzów rzymskich zbytek nie miał granic, a kobiety obuwie codzienne po miastach i na wsiach zdobiły perłami. Lolia Paulina żona Kaligu i, przystrajała ubranie codzienne tylu perłami, że wartość ich, na dzisiejszą obliczona monetę, przeszło 2 miliony talarów wynosiła.

Przymioty najwięcéj w perłach cenione są: twardość, kolor biały, półprzezroczystość opalowa, piękny połysk i znaczna objętość. Od tych własności zależy ich wartość. Do znanych w starożytności większych okazów należały perły, których Kleopatra jako zausznic używała. Królowa ta zrobiła z Antoniuszem zaplątanym w jéj sieciach miłosnych, zakład, że uczta na cześć jego przyrządzona 10 milionów sestersów (około 550,000 talarów) kosztować ją będzie. Pomimo zbytku, jaki otaczał rzymskiego tryumwira, nie pojmował on, jak biesiada jedna tak wielkie sumy kosztować może i zakład przyjął; a Kleopatra rozpuściła jednę z swych pereł, ową wielką wartość mającą, w occie i na cześć kochanka swego czarę tę spełniła. Dodać nam tu jednakże wypada, że perła ta nie była zupełnie rozpuszczoną albowiem mniejsza daleko perła kilka dni czasu potrzebuje, zanim jéj części wapienne się rozpuszczą a przytém zatrzymuje ona tę samą prawie objętość, lecz jest zmiękczoną, błonkowatą i dla tego łatwiejszą do połknięcia i do strawienia. Przyznać trzeba, że bohaterka ta wiele okazała odwagi, wychylając ową czarę na cześć i zdrowie swego kochanka. W nowszych czasach Filip II, król hiszpański, posiadał nader piękną i kosztowną perłę, która miała przeszło 80,000 dukatów wartości.

Zwyczaj przystrajania głowy sznurami pereł przechował się dotąd na wschodzie, u nas zaś księżniczki i inne arystokratki mianowicie za Zygmuntów w ten sposób powab przyrodzonych wdzięków podnosiły. To też Barbara Radziwiłłówna, któréj rolę w roku zeszłym na tutejszéj scenie pani Hoffmann odegrała, była niemi ozdobioną. Jakkolwiek gra p. Hoffmann nie wypadła tak, jak zwolennicy jéj się spodziewali, zapewne z przyczyny, że charakter jéj z charakterem Barbary Felińskiego kontrast stanowił, jakkolwiek publiczność nie była koniecznie grą téj artystki zachwyconą, krytyka jednak wypadła dla niéj bardzo świetnie, co dowodzi, że prawdziwa krytyka dotąd się u nas nie wyrobiła, że w krytyce miary utrzymać nie umiemy, albowiem zazwyczaj wszystko błotem obrzucamy, albo też pod niebiosa wynosimy. Ale wróćmy do pereł.

Perły składają się z kilku warstew, z których wierzchnia jest z perłowéj macicy, złożonéj z kwasu węglowego i wapna, inne warstewki są błonkami zwierzęcemi, napuszczonemi tą samą materyą, co i wierzchnia pokrywa, w środku zaś znajduje się albo ziarnko piasku, albo najczęściéj żyjątko już to z rodziny pająków wodnych, już też innych pasożytów. Najczęściéj znajdujemy perły w muszlach mięczaków, które naturaliści od własności tworzenia pereł perłopławami, perłorodnemi nazwali. Oprócz tego w morzu żyjącego gatunku, od którego największe i najpiękniejsze perły pochodzą, zasługuje jeszcze na wzmiankę skojka perłorodna, mięczak niektóre rzeki Europy zamieszkujący.

Co do tworzenia się pereł nie będziemy tu wszystkich bajek powtarzali, którym dawniéj dawano wiarę, nadmienimy tylko, że starożytni sądzili, że krople rosy

wystawione na działanie słońca podzwrotnikowego zamieniały się w perły. Później mniemano, że takowe powstają w czasie błyskawicy, jeżeli przypadkowo muszla była otwarta. W średnich wiekach uważano perły za jajka muszli, a przesąd ten tak się zakorzenił, że jeszcze w r. 1700 utrzymywano, że pewien szwedzki major i w towarzystwie jego będący szlachcic inflancki widzieli, jak z perły, którą był rybak na stół położył, muszla powstała. Dopiero znakomity francuski naturalista Réaumur, który wyjaśnił niejedno zjawisko w dziedzinie nauk przyrodniczych, któremu niejeden przesąd wykorzenić się udało, wykazał, że budowa perły zupełnie się z budową muszli zgadza, że przeto obydwie w ten sam sposób powstały. Mięczaki muszlowe, pospolicie muszlami albo małżami zw ne, wydzielają za pomocą płaszcza mięsistego, któremi są okryte, zewnętrzną skorupę wapienną, która podobnie jak perła z kilku warstew się składa, co dokładnie na muszli np. ostrygi jadalnéj widzieć można. Perła przeto, jak późniejsze wykazały doświadczenia, również przez wydzielenie owego płaszcza powstaje i dla tego zwykle w bliskości tegoż się znajduje; najpiękniejsze zaś perły są wewnątrz w płaszczu ukryte. Na wewnętrznéj stronie skorupy osadzone perełki, nie mające ani ślicznego połysku, ani owéj półprzezroczystości, zowią się półperłami.

Ponieważ nie w każdéj muszli perłowéj perły się znachodzą, ciekawą było przeto rzeczą wykryć, co powoduje mięczaki te do podobnych wydzielin. Pytanie to stało się przedmiotem długich badań niektórych naturalistów i dopiero przed mniéj więcéj dwudziestu laty uczony Włoch Filippi, a nieco późniéj Niemcy Küchenmeister i Möbius udowodnili, że jądro pereł zawiera przedmiot obcy organizmowi perłopławów, że w jądrze tém znajduje się zazwyczaj pasożyt, albo przynajmniéj skorupa tegoż, i że mięczaki te, skoro tylko jaki pasożyt dokuczać im zacznie, otaczają go powłoką wapienną, ubezwładniają go przez to i starają się przez nowe wydzieliny wapna powłokę tę wzmocnić, ażeby tak zasklepiony dręczyciel z ukrycia tego się nie wydobył. Im większe było owo jądro, im więcéj je powłok wapiennych okryło, tym większa i kosztowniejsza powstawała perła.

Po wykryciu przyczyn, które perłopławy powodują do tworzenia pereł, sądzili wyżéj wspomnieni uczeni, że nie będzie trudno mięczaki te zniewolić do perłowych wydzielin. W tym celu brali oni odpowiednie pasożyty i starali się je skłonić do wejścia i zamieszkania wnętrza muszli perłowych, myśląc, że te drażnione i niepokojone by się obronić przed temi wewnętrznemi wrogami otoczą je powłoką wapienną i przez to zawiązek przyszłéj perły utworzą. Doświadczenia te nie zostały dotąd uwieńczone tak świetnym skutkiem, jak się tego spodziewano, albowiem otrzymywano w ten sposób tylko mniejsze, nie wielką wartość mające, perły; także podjęte przytém starania i prace nie odpowiednio zostały wynadgrodzone. Pomimo tego nie należałoby się tém zrażać, albowiem tym przedmiotem zajmujący się naturaliści nie wątpią, że w podobny sztuczny sposób pereł można się dochować, zbywa nam tylko dotąd na dość praktycznych środkach, ażeby urzeczywistnić to, co nam teorya wskazuje. Zresztą Chińczycy, którzy tylu wynalazkami cywilizowaną wyprzedzili Europę, od kilku już wieków sztucznem chodowaniem, że tak powiemy, pereł się zajmują. Podobno już w 13tém stuleciu po Chrystusie Chińczyk Ye-jin-yang w Hutschefu odkrył tajemnicę sztucznego zniewalania perłopławów do tworzenia pereł. Odtąd około 500 ludzi praktycznem zastósowaniem owego wynalazku się zajmuje, pomimo że po największéj części półperły tylko otrzymują.

Lineusz, ów wielki miłośnik i badacz przyrody, udzielił podobno w r. 1761 królowi szwedzkiemu tajemnicy dowolnego tworzenia pereł. Tajemnica ta na tém polegać miała, żeby ostrym i śpiczastym narzędziem przekłuć muszlę perłopławu, który, aby się przed tą napaścią ocalić, powstały otwór wydzieliną perłową zasklepia, a przez częstsze osadzanie téjże tworzy się mniejsza lub większa wypukłość, która przybiera kształt perły, lecz nie ma wszystkich jéj znamion i dla tego półperłą się zowie. Środki przez wyżéj wymienionych uczonych, a mianowicie przez Küchenmeistra podane, jakkolwiek nie odniosły dotąd pożądanego rezultatu, są jednak od Lineuszowych daleko lepsze, albowiem, gdy im się udało zbadać przyczynę tworzenia pereł w stanie normalnym, starają się oni stan ten zwykły, od którego jedynie owe wydzieliny perłowe zależą, w muszlach perłowych wywołać.

Najwięcéj muszli perłowych znajdujemy w morzach strefy gorącéj; z tak zwanych zaś ławin perłowych są największe nad brzegami wyspy Cejlon, leżącéj w Oceanie Indyjskim, daléj w morzu Japońskiém i zatoce Perskiéj. Połów pereł odbywający się rokrocznie na wyspie angielskiéj Cejlon jest przepisany i bliżéj określony rozporządzeniami rządowemi. Rząd oznacza miejsce, w którém połów ma się odbywać, czas, jak długo ma trwać, ogranicza ilość statków, mających być użytych i pod temi warunkami wydzierżawia przez publiczną licytacyą najwięcéj dającemu prawo łowienia muszli perłowych. Główny przedsiębiorca wypuszcza częściowo nabyte prawo połowu, on sam jednakże za dotrzymanie warunków przepisanych przed rządem jest odpowiedzialny. Wydobyte muszle składają w miejsca, palami ogrodzone, a mięczaki muszle te zamieszkujące, pozbawione wody, szybko gnić i rozkładać się zaczynają. Gdy już rozkład ten ich ciała, połączony z niemiłym i odrażającym zapachem, dostatecznie postąpił, skutkiem czego muszle łatwiéj otworzyć i perły lepiéj wydobyć można, zabierają się robotnicy pod najściślejszym dozorem do wyszukiwania pereł. Przy pracy téj nie wolno im pod najsurowszą karą zbliżać rąk do ust, a jeżeli przypadkowo pomimo zakazu który z nich perłę połknie, natychmiast zmuszają go za pomocą środków lekarskich do oddania tego, co sobie bezprawnie przywłaszczył.

Do wydobywania muszel tych, które zazwyczaj na dnie morza do jakiéj skały są przyrośnięte i jeżeli w większéj ilości są nagromadzone, ławiny muszlowe tworzą, używają nurków. Nurki, w kosz i nóż opatrzeni, przywiązują sobie do nogi kamień, ażeby się łatwiéj na dno morza spuścić mogli, a przewiązawszy się w pas liną, któréj koniec do statku jest przymocowany, zapuszczają się w głębinę. Nurek za pomocą noża muszle przyrośnięte oddziela a napełniwszy niemi kosz, lub gdy dla braku powietrza dłużéj pod wodą wytrzymać nie może uwalnia nogę od przywiązanego do niéj kamienia i daje znak przez poruszenie liny, ażeby go z wody wyciągnięto. Pomimo że nurki od pierwszéj młodości do rzemiosła swego się wprawiają, pozostawanie jednak pod wodą jest dla nich przykre i uciążliwe, a ze względu na wielką ilość morza te zamieszkujących drapieżnych zwierząt nader niebezpieczne. To téż wynadgrodzenie ich ze względu na niebezpieczeństwa, na które są wystawieni, jest znaczne; otrzymują bowiem czwartą część wydobytych muszel perłowych. Każdy nurek łowi takowych 1000—4000 w przecięciu dziennie. Ilość znalezionych pereł nie da się tak łatwo obliczyć, albowiem w niejednéj muszli znajduje się 30 - 40 pereł gdy tymczasem w stu innych zaledwo jedna. Połów pereł nad brzegami wyspy Cejlon przynosi rządowi angielskiemu rocznie około 50 000 funtów szterlingów, w niektórych zaś latach przeszło 100,000 funtów (przeszło 700,000 talarów). Dzisiaj dostarczają najwięcéj pereł zachodnie wybrzeża północnéj i południowéj Ameryki.

W niektórych rzeczkach Europy trudnią się także łowieniem muszli perłowych rzecznych. Zasługuje tu na wzmiankę pamiętna w dziejach naszych Elstera,

która w r. 1813 najdroższą wojsku polskiemu perłę, nieodżałowanego księcia Józefa, po nieszczęśliwéj bitwie pod Lipskiem pochłonęła. Jakkolwiek w rzece téj już od kilku set lat łowieniem pereł się trudnią, połów ten jednakże na małą odbywa się skalę i więcéj straty jak korzyści przynosi, koszta bowiem połowu na 400 talarów obliczono, gdy tymczasem znalezione perły zaledwo 100 talarów są warte.

Perły nie tylko w muszlach perłowych, ale także w wielu innych rodzajach muszli chociaż rzadko napotykamy. Jakkolwiek kilku gastronomów poznańskich na honor się klną, że dotąd ani jednéj perły nie znaleźli, pomimo że na jedném posiedzeniu po 3—5 tuzinów ostryg zjadają, możemy jednak ich zapewnić, że perły i w tych małżach chociaż bardzo rzadko się pojawiają. Nie myślimy przeto panów tych zachęcać do poszukiwań naukowych w celu wykrycia, na ile ostryg zjedzonych jedna perła przypadnie, gdyż ze zbyt wielkiego zapału do badań przyrodniczych gotowiby majątek stracić za nimby jednę perłę odkryli, nie każdemu bowiem uda się podobnie, jak owemu Hamburczykowi, znaleść w ostrydze perłę, za którą mu 22 talary zapłacono.

Ponieważ perły do kosztowniejszych należą przedmiotów, od dawna też już starają się takowe naśladować. Wyrabiają zaś je już to z zębów tak zwanéj dziewicy morskiéj (Halicore cetacea), zwierzęcia ssącego dwupletwowego, zamieszkującego morze Czerwone, już też z alabastru lub szkła. Perły szklanne są z nich najważniejsze a główne fabryki znajdują się w Paryżu, Wenecyi i Wiedniu.

Jeżeli która z pięknych czytelniczek, przeczytawszy powyższy opis pereł, zapragnęłaby nabyć choćby tylko kilka prawdziwych, zwłaszcza że takowe do podniesienia powabu piękności się przyczyniają, zapewniamy ją, że przenosimy przyrodzone wdzięki nad sztuczne i mimowoli przychodzą nam na myśl słowa poety:

A gdy jéj uśmiech usta rozdzieli,
To ząbki błyszczą tak cudnéj bieli,
Że pereł sznurek zdobiący szyję
Ze wstydu poza gorset się kryje.

B. J.

# ROZMAITOŚCI.

## Teatr polski.

* Jan Jurga. Obraz dram. w 1 akcie; Pani Kasztelanowa. Dramat w 1 akcie J. Korzeniowskiego; Szlachta czynszowa. Komedya w 1 akcie; Solidarność. Komedya w 5 aktach; Piosnka wujaszka. Kom. w 1 akcie Fredry (syna); Okrężne. Komedya w 2 aktach J. Korzeniowskiego.

Z powodu szczupłych ram naszego pisma ograniczyć się musimy tylko na krótkiém tygodniowém sprawozdaniu o przedstawieniach sceny polskiéj.

W sobotę zeszłą grano dramatyczny obrazek Jan Jurga. W roli Jurgi występował p. Nowakowski. Rola to bardzo trudna — uwydatnienie charakteru człowieka na poł zezwierzęconego — zostawia wprawdzie artyście szerokie pole do popisu, ale dobrego trzeba aktora, aby roli nie skarykaturyzował. Śliczna Anna (panna Górecka) wyborném oddaniem wdzięcznéj swéj roli dzielnie dopomagała p. Nowakowskiemu.

Pani Kasztelanowa jest jednym z najlepszych jednoaktowych dramatów, jakie posiadamy w naszéj literaturze. Starcie dwóch przeciwnych prądów, konserwatywnego w osobie kasztelanowéj, — i postępowego, reprezentowanego przez brata i wnuka dumnéj matrony, — wybornie i z wielką prawdą oddane. I nie dziw, — wszakżeż to utwór jednego z najlepszych naszych dramaturgów, Józefa Korzeniowskiego, który w malowaniu współczesnéj jemu publiczności był nieporównanym. W sztuce téj, znamienicie, ale to pod każdym względem, grały panie Aszpergerowa (w roli kasztelanowéj); Nowakowska (w roli Teresy); Kaliciński z wielką prawdą odegrał rolę starego jenerała, człowieka postępowego i najszlachetniejszego serca. Jeden z najlepszych aktorów trupy, p. Konarski, grał rolę marszałka dworu, a p. Tkaczopolski wnuka kasztelanowéj Władysława.

Szlachta czynszowa jest wesołą, świąteczną sztuczką, gdzie nie rachujemy się ze słowami, a na dowcipy i figle aktorów łaskawem patrzymy okiem. Jednak przedewszystkiem jest to sztuka polska, z polską rubasznością junactwem i wszelkiemi wadami polskiéj natury! Tu znowu przedewszystkiem panu Hennigowi w roli dymisyowanego żołnierza, należy się palma pierwszeństwa, jak również szczere uznanie pp. Zboińskiemu, Nowakowskiemu i Konarskiemu. Pani Bolechowska w córce młynarza, miluchnym śpiewem i wdzięcznêm oddaniem roli, nie jeden zjednała sobie oklask, który i tu chętnie jéj powtarzamy.

W poniedziałek mieliśmy Solidarność, wyborną komedyą w 5 aktach Scribe'go. Rzecz idzie o wybór deputowanego, a około zabiegów o pozyskanie téj godności, obraca się cała intryga. Pani Aszpergerowa, któréj z laurów nic ująć nie dodać nie można, znamienicie odtworzyła przebiegłą postać Cezaryny. Pani Nowakowska zawsze jest tą samą... nieporównaną w rolach, gdzie ton dobry i maniery salonowe główną stanowią cechę. To też i w roli pani Montlucart była znamienitą! Charakterystyczna postać dokto a Bernardetta zupełnie się nadawała do talentu p. Nowakowskiego, który ją też wybornie odtworzył. Główne to osoby komedyi — ale niezapominajmy i o wybranym Rigant (p. Tkaczopolski) — i o wyborcach p. Zboińskim, Kalicińskim, a przedewszystkiém o p. Dobrzańskim, który, znany jako autor kilku wybornych komedyi, talentem swoim nie mało przyczynił się do ożywienia całéj sztuki. O p. Konarskim to chyba powiemy, że jak z każdéj powierzonéj mu dotąd roli, tak i z roli pana ministra, wywiązał się sumiennie i chwalebnie.

Do rzędu tych wesołych i z prawdziwie polskim humorem napisanych komedyek, należy zaliczyć Piosnkę wujaszka graną w zeszły wtorek. Wujaszkiem był p. Hennig, siostrzeńcem jego p. Sztengel, a obaj rzeczywiście godni siebie, jak to mówią gracze, wyborném oddaniem ról swoich wzbudzali szczerą wesołość i rzęsiste oklaski.

W znanéj dwuaktowéj komedyi Okrężne doskonale w roli Klary grała panna Górecka, a wiejską zalotną dziewczynę wybornie pojęła pani Bolechowska. P. Kaliciński paradnym był filozofem uniwersytetu niemieckiego, którego zasady z wybornym skutkiem szczepił na białych rączkach wiejskiéj dziewczęcia.

W ogóle w szeregu dotychczasowych przedstawień teatru polskiego widać chwalebną gorliwość dyrekcyi. I tylko smuci nas, nie obojętność publiczności, bo o téj wątpić nie ośmieliliśmy się, ale ta słota i powietrze nieznośne, które nie pozwala licznéj niż dotąd nawiedzać świątynię sztuki narodowéj.

### Kalendarz historyczny polski.

Dnia 22 stycznia: R. 1525 Powstanie w Gdańsku.—1816 Pierwszy sejm prawodawczy Rzeczypospolitéj Krakowskiéj.

Dnia 23 stycznia: R. 1227 Założenie klasztoru Dominikanów w Gdańsku. — 1440 Węgry zapraszają na tron Władysława Warneńczyka. — 1649 Jan Kazimierz potwierdza prawa koronne. — 1824 Onacewicz wyswieca publicznie łotrostwa Nowosilcowa.

Dnia 24 stycz.: R. 1507 Koronacya Zygmunta I. — 1667 Sejm odrzuca wniosek obrania królem ks. Kondeusza. — 1668 Ostatni sejm za panowania Jana Kazimierza. — 1706 Bitwa z Szwedami pod Grodnem.

Dnia 25 stycz.: R. 1588 Zniesienie i wzięcie do niewoli w Byczynie Maksymiliana Austryackiego. — 1610 Pobicie Moskwy pod Ułą. — 1634 Śmierć hetmana Jana Ogińskiego. — 1861 Detronizacya Mikołaja.

Dnia 26 stycz.: R. 1517 Bitwa z Tatarami pod Kaniowem. — 1567 Pobicie Moskwy na polach Czaśnickich. — 1699 Pokój Karłowicki z Turkami.

Dnia 27 stycz.: 1510 Pożar salin w Wieliczce. — 1736 Leszczyński zrzeka się praw do tronu polskiego. — 1792 Sejm w Warszawie gromi nadużycia magnatów. — 1832 Wymordowanie w Fischau bezbronnych Polaków.

Dnia 28 stycz.: R. 1573 Konfederacya w Warszawie po śmierci Zygmunta Augusta. — 1831 Utworzenie w Paryżu komitetu dla sprawy polskiéj.

### Szarada.

Pierwsze z drugiém jest świątynią;
Gdy o trzecim wzmiankę czynią,
Używa się wtedy trzecie.
Wszystko w starożytnym świecie
Wielką potęgę dzierżyło.
Dziś zaś całkiem się zmieniło,
Będąc płochych zatrudnieniem,
Nieraz także ich zniszczeniem.
Choć ją sławi dziejów karta,
Całość dzisiaj djabła warta.

(Rozwiązanie szarady w nr. 3 **Posowa**; zagadki: **Lesseps** filozof Libelt; minister Espartero; kaznodzieja Skarga; poeta Słowacki; fabrykant fortepianów Erard; skrzypek Paganini; malarz Simmler.)

### Korespondencya Redakcyi.

Panu Jak. Nał. z Obroszyna: Dziękujemy za dobre chęci. — Panu Kubelacz...: Gdyby Pański utwór był tak dowcipny, jak Pański podpis, bylibyśmy Panu bardzo wdzięczni.